



## Mirosław Derecki

### DRUGA OFERTA ESTRADY...

Polskie Targi Estradowe w Łodzi odbyły się w grudniu ub. roku już po raz czwarty. Ostatniej imprezie, której przebieg staram się obiektywnie relacjonować, nadano charakter szczególny: nie ograniczono się bowiem do prezentowania, tylko typowo dochodowych imprez, przynoszących wysokie zyski, jak produkcje Maryli Rodowicz, „Skaldów”, Andrzeja Rosiewicza, Jacka Lecha, „Czerwonych Gitar”, itd. Organizatorzy: Łódzka Estrada i Stowarzyszenie Muzyki Estradowej oraz kibicujący im „Toto-Lotek” postanowili rozszerzyć targową ofertę o tzw. małe formy estradowe, monodramy, mini-programy poetycko-muzyczne - z myślą o takich kontrahentach, jak wojewódzkie domy kultury, gminne ośrodki kultury oraz te wszystkie instytucje działające na rzecz upowszechnienia kultury, które nie mogą sobie pozwolić na drogie zespoły lub nie mają odpowiednich sal. Z tą ideą wiązał się inny nurt Targów: prezentacja najciekawszych kabaretowych i estradowych zespołów studenckich oraz solistów, tudzież zespołów kabaretowych w ogóle i zespołów folklorystycznych. Wreszcie - miano zaproponować ofertę dla przedsiębiorstw gastronomicznych („rozrywka w gastronomii”), gdzie - jak się dowiedziałem z „Biuletynu Targowego” - rozrywka bije wszelkie rekordy. W 1976 r. zorganizowano w lokalach gastronomicznych 31800 imprez rozrywkowych (to znaczy 15 razy więcej niż np. imprez na wsi, lub prawie 10 razy więcej niż imprez dla szkół), które obejrzało 3 miliony 941 tysięcy widzów. Targi, organizowane w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki, miały mieć tym bardziej pozytywny wydźwięk, że przewidziano podczas nich cały szereg seminariów, m. in. na temat imprez w małych ośrodkach miejskich i na wsi jak również dyskusję na temat: „Dziś i jutro polskiej rozrywki” oraz sesję wyjazdową sekcji krytyki muzyki i estrady SDP.

W związku z tym Targi rysowały się jako impreza operująca materiałem dowodowym dla wszystkich fachowców, którzy chcą znać stan dzisiejszej rozrywki. Program zapowiadał 35 pełnospektaklowych pokazów giełdowych na czterech scenach teatralnych. Na estradach spodziewano się około 600 wykonawców. Miało przyjechać 250 dziennikarzy i obserwatorów z kraju i zagranicy.

Było w czym przebierać i co „kupować”, kontraktować, a my wszyscy, którzy wybieraliśmy się na Targi jako skromni tylko obserwatorzy lub żurnaliści, cieszyliśmy się

dodatkowo z możliwości zwiedzenia nowo otwartego Night-Clubu Estrady - nowoczesnego lokalu urządzonego w/g najlepszych wzorców europejskich (zautomatyzowane światła, kwadrofonia, stół mikserski, system kompatybilny stereo-kwadro). Ale tak najbardziej, to robiliśmy sobie nadzieje na obejrzenie propozycji dla rozrywki w gastronomii. Niestety „oferta gastronomiczna” z niewyjaśnionych bliżej przyczyn nie została zaprezentowana, a zapytany na ten temat podczas konferencji prasowej dyrektor Józwiak odparł zwięźle: *Nie, nie przewidziano rozrywki dla gastronomii*. Nawiasem mówiąc, nie odbyły się również zapowiedziane seminaria, dyskusja oraz sesja sekcji krytyki SDP, z wyjątkiem narady przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki, Centralnego Ośrodka Upowszechnienia Metodyki Kultury oraz przybyłych ze wszystkich stron przedstawicieli placówek kulturalnych.

Ogromna liczba imprez pozwalała na skupienie się tylko na jednym lub dwóch „nurtach” Targów. Wybrałem nurt może mniej efektowny, ale moim zdaniem najbardziej istotny: propozycje dla WDK-ów GOK-ów, organizacji młodzieżowych, dla instytucji zobowiązanych do zapewnienia rozrywki na wczasach lub podczas wakacji. Przez cztery dni tkwiłem w Teatrze Rozmaitości, konsekwentnie - jako jedyny chyba z dziennikarzy - obserwując „mniejsze” formy estradowe.

Targi rozpoczęto w sposób sympatyczny, od zbiorowego wieczoru autorskiego znanych polskich satyryków - Antoniego Marianowicza, Marii Czubaszek, Anatola Potemkowskiego, Andrzeja Nowickiego, Ryszarda Marka Grońskiego i Adama Kreczmara. Był to nie tylko min-festiwal inteligentnej satyry, ale zarazem przegląd stylów i „szkół” polskiej satyry w ciągu minionego trzydziestolecia. W Państwowej Filharmonii śpiewali „Novi Singers” i grał Zbigniew Namysłowski, zaś późnym wieczorem w Teatrze Rozmaitości wystąpili liczni, parający się „poezją śpiewaną” piosenkarze studenci (lub z ruchem studenckim związani) z Nataszą Czarwińską i Janem Wołkiem na czele. Nataszę Czarwińską pamiętam z jej debiutu przed siedmiu laty na Przeglądzie Piosenki Studenckiej w Krakowie, kiedy to zdobyła pierwsze miejsce. Zachowała do tej pory styl, który zwrócił na nią uwagę już w tamtym okresie. Operuje wyszkolonym głosem o głębokim, dramatycznym brzmieniu i doskonale opanowanym warsztatem aktorskim Pełne ekspresji piosenki Jana Wołka, bardzo dobry warsztat recytatorski, no i wysoka umiejętność gry na gitarze, powinny go stawiać w rzędzie najlepszych krajowych profesjonalistów estrady. Cały ten wieczór z udziałem jeszcze m. in. Małgorzaty Bratek, Macieja Dzierżawskiego i zespołu „Niebo” i inne wieczory, w których występowali piosenkarze studenci z „poezją śpiewaną”, oraz występy niektórych kabaretów studenckich należy potraktować z dużym uznaniem, z satysfakcją, że w ruchu tym na nowo odżywają charakterystyczne dla niego formy estradowe.

Inaczej było następnego dnia. Na małej scenie Teatru Rozmaitości wystąpił mini-zespół reprezentujący Stołeczną Estradę. Składał się ze śpiewaczki, recytatora oraz akompaniarki. Takie trio mieści się w kategorii kulturalnych, „uniwersalnych” programów, które mogą być prezentowane wszędzie – począwszy od szkół podstawowych, na domach spokojnej starości kończąc. Może występować tam, gdzie tylko jest kawałek estrady a na niej pianino. Założenie z gruntu doskonale, rzecz jednak w repertuarze i realizacji. W tzw. części słownej owego typowego „programu słowno-muzycznego” wiersze Gałczyńskiego, Tuwima - „Strasna zaba”, „Lokomotywa” itp. - recytowane były przez starszego, kulturalnego pana ze staromodnym wdziękiem, ze zwracaniem uwagi na wykorzystanie efektów onomatopeicznych z „oszczędnym” gestem ręki, z „artystycznym”, lekkim przechyleniem głowy. Słowem mieliśmy przykład mówienia wiersza według szkoły sprzed lat dwudziestu i chociaż był to tzw. kawał dobrego starego warsztatu, przychodziły mi cały czas do głowy myśli o setkach recytatorów-amatorów zajmujących wysokie miejsca na ogólnopolskich konkursach, dysponujących doskonałym, współczesnym repertuarem i nowoczesną techniką recytacji, którzy wciąż przegrywają z profesjonalistami, bo nie mają „papierka”, czyli weryfikacji. Nawiasem mówiąc, impreza miała iście „kameralną” atmosferę: na widowni siedziało dziesięć osób oraz bileterka. Potem wyszły trzy osoby, ale przybyła jedna. Koncert słowno-muzyczny zamknęliśmy liczbą ośmiu osób na widowni, w tym dwóch pań spośród organizatorów. Jednej małej dziewczynki, operatora dźwięku i... mnie.

Z tej samej serii oglądałem propozycję Estrady Łódzkiej : pana, który reprezentował program uniwersalny już absolutnie: występował zupełnie sam, ze zmyślnym spektaklem mającym ukazywać przegląd kierunków i stylów satyry polskiej. Prowadził więc i konferansjerkę, i recytował co celniejsze utwory o szabrownikach, biurokratach i bumelantach. Inne tematy, jakie omawiał, to było lizusostwo w satyrze, asekuranctwo, satyra w wydaniu „kresowym” oraz satyra „wojskowa”. Bardzo podobał mi się monolog o „ofermie batalionowej”, o bokserze walczącym na ringu - z odegraniem w sposób bardzo „charakterystyczny” sceny walki i po walce. Artysta opowiadał również dowcipne anegdotki, na przykład dlaczego marszałek Kutuzow nosił czerwoną koszulę a Hitler żółte spodnie... Powoli zacząłem się orientować, że tutaj uniwersalizm programowo-artystyczny osiągnął szczyty: program mógł być wykonywany wśród żołnierzy i dzieci szkolnych, starców i osesków, osadników i historyków wojskowości. Jednym z mocnych końcowych akcentów była fraszka „Entliczek pentliczek /Czerwony stolicek / A pod stolickiem leży /Nas tatusicek/”. Daliśmy należne brawa, a ja wyzbyłem się kompleksów wobec dzisiejszej młodzieży. Dostaje ona wszak przy starciu w dorosłość taką samą porcję estradowej rozrywki, jak moje pokolenie za czasów słynnego „Artosu”.

W dużej sali Teatru Rozmaitości katowicka WAIA prezentowała muzyczno-estradowo-kabaretową składankę: „Nowowiejski Show”. Przez te dwie godziny trwała doskonała zabawa. Kilkunastoosobowy zespół dawał rewię humoru RETRO i nie tylko, z udziałem piosenkarek, konferansjerów, parodystów i zespołu muzycznego. Były też tańce - rock and roll. Najbardziej podobały mi się dowcipy o bigbitowcach, o muzykach w porteczkach opiętych na tyłeczkach, ryczałem ze śmiechu, kiedy przy słowie „hipisi” padał komentarz: o, o. ... pisi pisi. Szczególnie przypadła mi do gustu stara piosenka o panu Hilarym, który chociaż już stary, wszystkim dziewczynom kręcił gitary i chociaż miał nie bardzo dużego bączka, to ten bączek każdemu uczciwie służył. I o tej pannie co to: Odtąd się bączkiem stale bawiła, rano i wieczór bączkiem kręciła. I kiedy zespół śpiewał na zakończenie chórem, z towarzyszeniem decybeli: Kto was będzie tak bawił, jak my?... Żegnajcie, żegnajcie i wspominajcie nas!, to dałem sobie solenne przyrzeczenie, że... przy każdej okazji... oczywiście! Nawiasem mówiąc, zespół ten reprezentuje naprawdę wysokiej klasy warsztat zawodowy, jest „dotarty”, dograny, widać prawdziwe rzemiosło. Niestety na rzemiosło się to wszystko - przynajmniej w tym programie - kończy.

Prawdziwą też frajdę miałem w czasie oglądania „Kapeli Marynarskiej”, występującej pod patronatem Estrady Łódzkiej podczas wieczoru zatytułowanego Polska Estrada Folklorystyczna. Podształciłem się odpowiednio na artykule w „Biuletynie Targowym” („Folklor przedmieść czy kabaret?”) na temat specyficznego nurtu w rozrywce, tzw. „kabareto-kapel”, w których *piosenki poza dowcipem słownym opierają się na aktorstwie charakterystycznym, zaskakującej puencie, pastiszu typowych schematów czy znanych przebojów muzyki pop* oraz - jakichś rejonów *które wszakże okazują się być bliższe kabaretowym realiom niż etymologicznym zależnościom*. Tak więc oglądając na estradzie grupę sympatycznych chłopców nie mających pojęcia o aktorstwie, przyjmowałem z przekonaniem ich produkcje, a m. in. dowcip o panu, który wszył sobie do spodni suwak logarytmiczny, żeby łatwiej wyciągać... Ha! Hal Ha!... Pierwiastek!

Pokazano też przecież w Teatrze Rozmaitości „małe formy dramatyczne” naprawdę wysokiej klasy, jak choćby „Promethidion” Norwida w wykonaniu Henryka Boukołowskiego w ramach jego Teatru Adekwatnego czy monodram oparty na poezji Stanisława Grochowiaka: „Epilog w stearynie”, prezentowany przez Olgierda Łukaszewicza. Ogromne wrażenie zrobił na widzach doskonały spektakl Teatru Faktu i Publicystyki, któremu patronuje Estrada Łódzka, zatytułowany „Kwartet C-dur” mówiący w przejmujący sposób o zbrodniach hitlerowskich dokonanych na polskich dzieciach w więzieniu w Lubawie pod Olsztynem. Aktorstwo zredukowane do minimum; „gra” - przede wszystkim tekst - utrzymany w konwencji listu do żyjącego dzisiaj w RFN byłego komendanta więzienia, Lagerfuehrera Klugego. Tekst napisany przez jednego z pozostałych przy życiu więźniów,

oraz autentyczne zdjęcia obozowe: zdjęcia dzieci w więziennych pasiakach i ich oprawców - rzucane na ekran w głębi sceny. Program wstrząsający, wart pokazania na jak największej liczbie scen i estrad. Zupełnie inna, ale też godna obejrzenia propozycja to pokazany przez wrocławski oddział Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego recital interesującego pianisty jazzowego Henryka Słaboszewskiego, uzupełniany projekcją niemych komedii filmowych z Haroldem Lloydem i Charlie Chaplinem. Dodatkową atrakcją tego programu jest osoba prezentera, łysego brodacza Romka Ukłańskiego, jednego z filarów starego „Kalambura” i w ogóle wrocławskiej „postaci”. Trzeba wreszcie odnotować występy Teatru „Eref” z Krakowa i Teatru im. C. Norwida w Jeleniej Górze, który dał program kabaretowy oparty na tekstach Jana Pietrzaka: „Po to jest kabaret”. Wreszcie - prawdziwym wydarzeniem artystycznym był w Filharmonii, koncert zespołu „Mainstream” (m. in. Wojciech Karolak i Jan Ptaszyn-Wróblewski) i pierwszej damy polskiego jazzu - Ewy Bem.

Jeżeli ktoś chodził na imprezy „główne”, mógł odnieść wrażenie, że polska rozrywka reprezentuje poziom wysoki. Innym przemawiać będzie chyba bardziej do przekonania zdanie samego dyr. Andrzeja Józwiaka (w „Odgłosach”), że ... targi pokazują chyba (też) nieuszminkowaną twarz naszej rozrywki. „Druga oferta” polskiej estrady pokazała w każdym razie, że problem zapewnienia w „terenach” godziwej rozrywki jest szalenie trudny i złożony. Wskazała na to również gorąca dyskusja wśród działaczy kulturalnych podczas Targów. Ale to już temat do zupełnie innego artykułu.

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 1, s. 8-9.